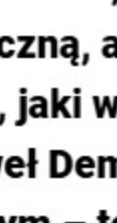


Nie dokarmiać upiórów

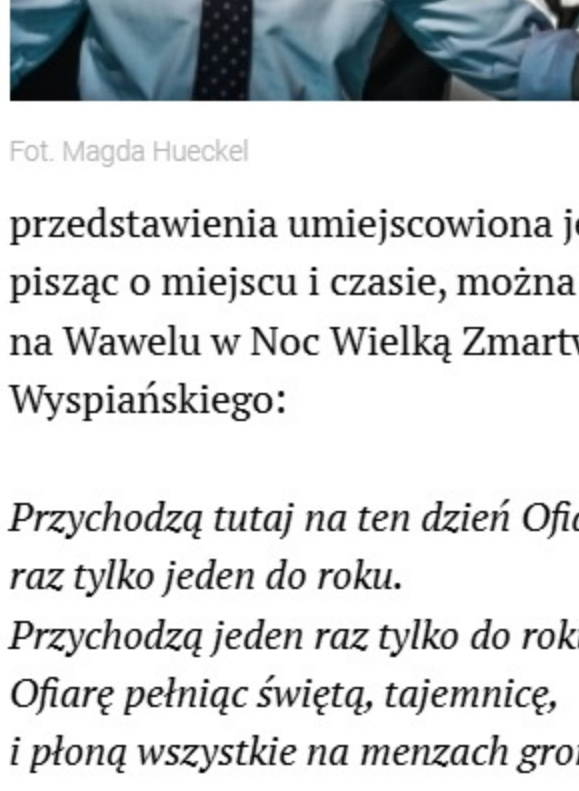
K., rez. Monika Strzępka, Teatr Polski w Poznaniu



JOANNA OSTROWSKA
Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu



Teatr Polski w Poznaniu



Fot. Magda Huzicki

Podobno jest dwóch ludzi (mężczyzn?), którzy organizują zbiorową wyobraźnię Polaków – jeden z nich to ktoś o śmiesznym imieniu, jakie ponoć powinno mu utrudniać karierę polityczną, a drugi to K. To o nich głównie opowiada spektakl, jaki w Teatrze Polskim w Poznaniu przygotowali Paweł Demirski i Monika Strzępka. By być precyzyjnym – tematem spektaklu jest to, jak wyglądać będzie świat, który nam oni i ci, co w nich uwierzyli, urządzili, czyli: walcujemy temat Polska współczesna.

Czy może raczej Polska w przyszłości, bo akcja przedstawienia umiejscowiona jest w Warszawie w noc wyborczą 2019 roku. Choć w zasadzie, pisząc o miejscu i czasie, można by też równie dobrze przywołać to zdanie: „Rzecz dzieje się na Wawelu w Noc Wielką Zmartwychwstania”. Dalej u Demirskiego też jest prawie jak u Wyspiańskiego:

*Przychodzą tutaj na ten dzień Ofiary raz tylko jeden do roku.
Przychodzą jeden raz tylko do roku,
Ofiary pełniąc świętą, tajemnicę,
i płoną wszystkie na menzach gromnice.
Czytane są Słowa wyroku.
Jako rzeczono przed tysiącem laty,
tej nocy ma się duch przetrworzyć;
przbyć ma Ten, co zbawiać wyzwał światy
i powstać z martwych i ożyć.*

Z tym, że w spektaklu Strzępki to nie postacie mityczne schodzą z obrazów, a przez wielkie otwarte jak do krzyku usta wychodzą na scenę upiory polskiej polityki, które w tę jedną noc raz na kilka lat oczekują nadejścia tego – prezesa PKW, który „przeczyta słowa wyroku” (suwerena), dzięki czemu „duch się przetrworzy” i przybędzie ten, co „... (imię lub inicjał wstawić) Polskę zbaw” (a świat niech sobie sam radzi). I tam, i tu przepracowywane są wielkie mity: tam – kultury europejskiej, tu – polskiej polityki. W obu przypadkach mamy w pewnym sensie do czynienia z tym, co Dorota Sajewska nazwała „nekrepermansem”, bo choć główni bohaterowie K. teoretycznie są żywi, przypominają wysysające życie upiory. Jesteśmy nawet świadkami jednego wskrzeszenia, kiedy po scenie, z bukiem czerwonych róż i doczepionym do niego błękitnym balonikiem drobi na wysokich obcasach Duch Unii Wolności (Joanna Drożdza), który wygląda nie tyle na ducha, co na nadsputego rozkładem trupa: ma na policzku jakiegoś zielonkawego liszaja, z tyłu głowy ni to krwista, czerwona ranę, ni to ozdóbkę, przybrudzony kostiumik *à la* bizneswoman AD 1992. Żeby nie było wątpliwości, że oto „Wszelki duch! Jakaż potwora! Widzicie w oknie upiora?”, szukającą sztabu wyborczego Unii Wolności kobiecą postać, człowiek Na sprzedaż (Andrzej Szubski) wysyła na Powązki. A ona sięga po telefon i próbuje się dodzwonić do „Tadeusza”. Ta „dialektyka apoteozy i sztylerstwa” (z przewagą tego drugiego) napędzać będzie cały spektakl, którego – wbrew temu, co jego przeciwnicy zadekretowali jeszcze przed premierą – głównym negatywnym bohaterem niekoniecznie jest K. (Marcin Czarnik), a raczej cała tak zwana „elita polityczna”. Równocześnie w pewnym sensie ten spektakl wyrasta z ducha polskiego romantyzmu. Mamy w nim dwie jednostki, które kierują się przede wszystkim własnym wybujałym indywidualizmem, by nie rzec – egotyzmem, i których postawa daleka od politycznego pragmatyzmu skutecznego działania daje się scharakteryzować hasłem: „Daj mi rząd dusz!”.

*Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Ja bym mój naród jak pieśń żywą stworzył,
I większe niżli Ty zrobilibym dziwo.*

Początek K. wprowadza także drobną konfuzję co do tego, kto jest owym tytułowym bohaterem. Kiedy widzowie zasiadają w fotelach kurtyna jest podniesiona, więc spokojnie można obejrzeć sobie całą przestrzeń gry z dwoma dominującymi elementami: wspomniana już gigantyczną głową, której oczy posiadają wąskie, jak kocie czy węzowe, źrenice, i ekranem, na którym miga napis „Wybory 2019”. Między nimi znajduje się kilkadziesiąt elementów, które budują wrażenie chaosu: peerelowska wersalka i stojący za nią bufet-serwantka, kilka starych zniszczonych krzeseł, duży stół służący za studio telewizyjne, porozrzucone białe metalowe krzesła ogrodowe, a nad tym wszystkim wiszące łańcuchy lampek. Gdy przygasa światło, kurtyna opada, a przez boczne drzwi wdziera się zatrzymywany przez jakieś postacie człowiek w za dużej marynarce i kaszkiecie, krzycząc: „ja w żadnym trybie”. Na naszych oczach przeobraża się: przygarbia, opuszcza ramiona, rozluźnia mięśnie twarzy, wół otwiera usta – nie ma wątpliwości, kto przed nami stanął, choć ten człowiek ma powierzchowność Jakuba Papugi. Kiedy aktor mówi z charakterystycznym „przymaskiem”, robi miny, chwytając jedną ręką drugą, można pomyśleć, że oto aktor przedstawia karykaturę pewnego prezesa partyjnego. Dlatego też początek przedstawienia wygląda jak kabaretowa parodia, widzowie śmieją się dużo i głośno. Takie parodiowanie w sposób naturalny budzi wesołość i przyznać trzeba, że Papuga jest w tej scenie świetny. Lecz za moment okazuje się, że „on to nie on”, że prawdziwa tożsamość tej postaci jest inna. To, co widzieliśmy, było czymś w rodzaju próby wejścia w rolę polityka z realności, skutecznego, takiego, który wie, jak wygrać. Coś jednak zaczyna się psuć w tej „rolu” już wcześniej, kiedy przemawiającemu buntuje się jedna ręka: a to wyrwa się do ust i trzeba ją drugą dłonią odrywać, a to wyrwa się gdzieś (jakby wystrzeliwała w górę?) i trzeba ją unieruchomić za plecami. Postać staje się groteskowo groźna. Kiedy jeszcze wychodzi do niej zza kurtyny inna postać – dziewczyna z laptopem (Anonymus – Monika Roszko), która podaje postaci bladeńską gumową maskę, którą tamten zakłada niby czapkę na głowę, wiadomo, że to ktoś inny, niż mogło się wydawać na początku. Papuga gra Partię klaunów – siłę, która ma być alternatywą dla dwubiegunowego świata rozciągniętego między tym o śmiesznym imieniu – Donaldem (Jacek Poniedziałek) a K. To, co obserwowaliśmy na początku, miało być wejściem dla Partii klaunów w rolę polityka, za moment jednak wyzwała się w nim właśnie blazen, który chce oblać czymś z wiadra prowadzącego program w telewizji.

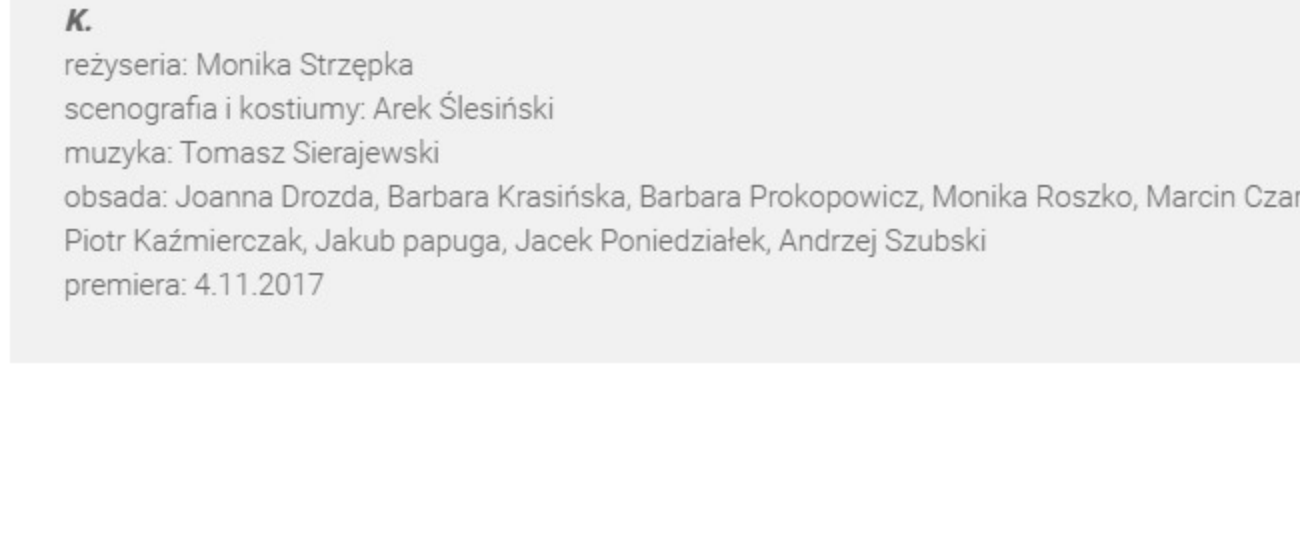
Akcja K. dzieje się w niedookreślonej przestrzeni – czasem jest to studio telewizyjne, czasem dom K., w którym króluje Matka Prezesów (Barbara Krasieńska), generalnie jest to jakieś miejsce w Warszawie, gdzie postacie z różnych partii czekają na pierwsze wyniki wyborów. Kiedy okazuje się, że *exit poll* daje zwycięstwo partii Donalda (cóż za *wishful thinking!*), zbuntowane doły w postaci Jastrzębia prezesów (Piotr Kaźmierczak) postanawiają odsunąć tego ostatniego ze sceny (politycznej) poprzez spalenie (zostaje nawet obłany ciecżą z kanistra), ale jak wywabienie zjawiają się kolejne wyniki, które przechylają szalę zwycięstwa na właściwą stronę. K. odzyskuje siły i na powrót staje za sterem. Między politykami paleta się jeszcze jedna postać – reprezentantka suwerena, Powiatowa (Barbara Prokopowicz), która usiłuje dialogować z politykami przy pomocy noża, czyli gigantycznego, zakrwawionego tasaka, który dźmierzy w dłoń. Chodzi od K. do Donalda, nie mogąc się zdecydować, który ma większy udział w tym, że przegrała swoje życie.

Ten spektakl to jeden wielki rzęg na Polskę ostatnich niemal trzydziestu lat. W spektaklu duetu wszyscy są za obecną sytuację równie odpowiedzialni – pierwsza naiwna nieboszczka, Unia Wolności (czy może raczej jej protoplastka Unia Demokratyczna, bo Mazowiecki był premierem z rekomendacji tej partii), leniwy Donald czy szarpany kompleksami i zagubiony w realnym życiu K. W pewnym sensie K. to spektakl historiozoficzny, przedstawiający historię oczami Demirskiego: okrągły stół, „sztandar wprowadzić”, zasłabnięcie Mazowieckiego, wojna na górze i liczne epizody pamiętne dla tych, co śledzili wydarzenia z lat po przełomie. Kiedy aktorzy odtwarzają postacie historyczne z tych heroicznych początków, wchodzą w pastisz pastiszu – postacie z pewnego programu satyrycznego, gdzie politycy przedstawieni byli jako zwierzątka. Z tym że ta historiozofia jest bliska temu, co splywa z ekranów, prasy, publikacji i walcuje się od lat – jest to raczej odtworzenie *à la* Demirski niż przetworzenie w samodzielny, mocny dramat Demirskiego. W spektaklu cytowane są obficie fragmenty książki Roberta Krasowskiego *Czas Kaczyńskiego* – przy ich pomocy charakteryzowane są na przykład postacie protagonistów. W efekcie świat spektaklu jest przerażająco podobny do tego, co serwują nam media ze wszystkich stron – skompilowane w serię wypowiedzi postaci. W wywiadzie, jakiego udzielił „Wysokim Obcasom”, Demirski przyznał: „ten spektakl wskoczył nam w ostatniej chwili w zaplanowany już sezon” i niestety jest to widoczne w finalnym efekcie ich pracy. To wciąż bardziej materiał na spektakl niż dzieło na tym poziomie artystycznym, intelektualnym, do którego przyzwyczaili nas „wściekły duet”. Co więcej, wybierając taki temat na spektakl, sami twórcy dołączyli do tych, co tworzą fantazmaty, mitologie i wzmacniają dwubiegunową wizję świata. Tych, którzy karmią się tym, że nie znikają z publicznego zainteresowania, taki spektakl raczej wzmocni, niż wytrądzi im jakąkolwiek krzywdę (choćby wizerunkową, czy taką, która polegać by miała tylko na chwilowym popsuciu humoru). Na forach internetowych apeluje się o niekarmienie trolli. Czy dokarmianie polskich upiórów materiałem dramatycznym, uczynienie ich obiektem zainteresowania, dolożenie cegiełki do organizowania wspólnej wyobraźni, jest lepszym zajęciem?

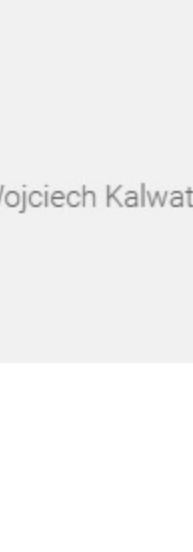
To pojawienie się w mojej głowie *Akropolis* Wyspiańskiego w trakcie oglądania K. wywołane zostało nie tylko pewnym podobieństwem konstruowania sytuacji w tym przedstawieniu, lecz do pewnego stopnia także samymi osobami dramaturga i reżyserki, których spektakle kojarzą mi się bardzo mocno z Krakowem, a konkretnie z pewną jego instytucją i jej scenami. Dopiero po ich spektaklach z ostatnich lat w Starym Teatrze pokochałam wściekły duet miłośnika bezgraniczna, choć jak się miało okazać, niebezkrtyczna. K. nie ma niestety nawet części tej siły, jaką miały tamte przedstawienia: *Bitwa warszawska*, *Nie-boska komedia...* czy absolutnie uwielbiany przede mnie *Triumf woli*. Może to właśnie ten krakowski kontekst sprawił, że na spektakl z Teatru Polskiego patrzę mocno krytycznie i jest on dla mnie oskarżeniem współczesnej Polski, lecz na poziomie zupełnie innym niż ten przywoływany w spektaklu. Piszący o tytułowej roli krytycy zwracają uwagę, iż dzięki Czarnikowi postać K. jest tak daleka od oryginału – to szczupły, wysoki, przystojny młody brunet w miejsce staroświeckiego, źle ubranego i zbyt okrągłego pana. Mam jednak podejrzenie, że Czarnik jako K. stał się postacią znaczącą jakby przy okazji, że nie tyle twórcy chcieli pokazać K. jako „Europejczyka” równoważnego wobec Donalda, tylko po prostu tak się stało, ponieważ nikt w zespole Polskiego nie byłby w stanie udźwignąć tej roli. Aktorzy Teatru Polskiego, których wielbię i doceniam, sprawiali wrażenie, że nie do końca czuli to, co grają. Jak sam Demirski przyznał, ten spektakl robiony był w pośpiechu, więc pewnie nie można było pracować nad nim tyle, ile by trzeba było. Była to pierwsza praca duetu w Teatrze Polskim w Poznaniu, dotąd tu nie reżyserowali, bo mieli „swoje” teatry: Polski we Wrocławiu i właśnie Stary. Oba przestały już istnieć w takim kształcie, jaki znaliśmy, w żadnym z nich nie ma już miejsca dla Strzępki i Demirskiego. W obu natomiast były zespoły i aktorzy, z którymi pracowali, które znali i z którymi tworzyli wybitne spektakle. Te spektakle mogły być wybitne właśnie dlatego, że reżyserka, dramaturg i aktorzy mogli ze sobą pracować dłużej, mieli czas się poznać, współ-tworzyć. Tego nie da się osiągnąć przy jednorazowym spotkaniu w pośpiechu i dlatego porównanie spektakli dawniejszych z tym wypadka tak niekorzystnie dla Teatru Polskiego. Rozwalenie takich zespołów teatralnych jak zespół Starego, podobnie jak wycinka puszczy Białowieckiej, to straty, których nie da się łatwo naprawić, choćby nawet ktoś inny wygrał wybory. Przepraszam za to słowo, ale chwilowa beznadziejność aktorów Polskiego pokazała, jak bardzo destrukcyjna jest wizja świata według K. Aktorem poznańskiego Polskiego żył jeszcze wielu kolejnych spotkań z Demirskim i Strzępką, takich na których nie zaciążył ani presja czasu, ani okoliczności, dzięki czemu będą też mogli tak wspaniale istnieć w świecie scenicznym jak ich koleżanki i koledzy ze Starego. A póki co, do polskich upiórów:

*Teraz z Bogiem idźcie sobie.
A kto prośby nie posłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha.
Widzicie Pańską krzyż?*
*[Choć] „chcecie jada, napoju,
Zostawcie nas w pokoju!
A kysz, a kysz!*

29-11-2017



K., REŻ. MONIKA STRZĘPKA, TEATR POLSKI W POZNANIU





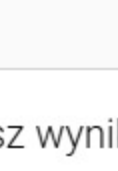
Teatr Polski w Poznaniu
Paweł Demirski
K.
reżyseria: Monika Strzępka
scenografia i kostiumy: Arek Ślesirski
muzyka: Tomasz Sierawski
obsada: Joanna Drożdza, Barbara Krasieńska, Barbara Prokopowicz, Monika Roszko, Marcin Czarnik, Wojciech Kalwat, Piotr Kaźmierczak, Jakub papuga, Jacek Poniedziałek, Andrzej Szubski
premiera: 4.11.2017

TAGI: Paweł Demirski, Monika Strzępka, Poznań, Teatr Polski w Poznaniu, [Udostępnij](#)

SKOMENTUJ



Autor



lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:
jeden razy osiem jako liczbę:



KOMENTARZE (4)



cn | 2017-11-30 10:25:11 <#> Cytuj

W spektaklu cytowane są obficie fragmenty książki Roberta Krasowskiego (??? czy aby nie Krasowskiego?) Czas Kaczyńskiego



W | 2017-11-29 17:43:30 <#> Cytuj

Marcin CZARNIK



Joanna Ostrowska | 2017-11-29 17:06:17 <#> Cytuj

Wątek napisal(a):

”
Rekomendowanie do zdania, że Tadeusz Mazowiecki został premierem z rekomendacji Unii Demokratycznej. Nie mogło tak być, ponieważ tej partii w sierpniu 1989 roku, gdy ta historia się rozgrywała, jeszcze nie było. Mazowiecki formalnie został kandydatem koalicji Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, czyli de facto Solidarności oraz partii wówczas jeszcze funkcjonujących: ZSL i SD. Unia Demokratyczna powstała w 1990 roku po nieudanych dla Mazowieckiego wyborach prezydenckich. Został jej pierwszym przewodniczącym.

Bardzo dziękuję za uściślenie. Pamięć już nie ta ;)



Wojtek | 2017-11-29 12:15:20 <#> Cytuj

Sprostowanie do zdania, że Tadeusz Mazowiecki został premierem z rekomendacji Unii Demokratycznej. Nie mogło tak być, ponieważ tej partii w sierpniu 1989 roku, gdy ta historia się rozgrywała, jeszcze nie było. Mazowiecki formalnie został kandydatem koalicji Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, czyli de facto Solidarności oraz partii wówczas jeszcze funkcjonujących: ZSL i SD. Unia Demokratyczna powstała w 1990 roku po nieudanych dla Mazowieckiego wyborach prezydenckich. Został jej pierwszym przewodniczącym.